



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół, kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

CIEŻKIE CZASY.

Oszczędność jest cnotą, której naturę znamy wszyscy. Urodzona z tej myśli rozsądnej, która dziś o jutrze pamiętać każe, umiarkowania uczy i ząd stanowi pierwszą wszelkiego mienia podstawę, bo, od marnotrawnej rozrzutności broniąc, zapasom gromadzić się pozwala i można nazwać ją stróżem pomyślności ludzkiej, gdy z pracą złączona, owoców jej pilnuje. Zawsze też i po wszystkie czasy oszczędność dla tych ważnych pożytków swoich szanowaną była; dziś przecież myśl o niej jest tak we wszystkich umysłach, tyśiące ust mówi o niej z naciskiem takim, że brzmi to jak jakieś nawoływanie ratunkowe, jak okrzyk przestrogi w chwili niebezpiecznej. Oszczędność też podnosi się nagle w doniosłości swojej i dorasta do znaczenia wielkiej cnoty—obywatelskiej cnoty razem rozumu i serca.

Poczucie jej potrzeby już się w nas obudziło; dochodzi ono nawet, jak to widzimy, do niezwykłego stopnia, jest niespokojne i trwożnych wzruszeń pełne; czy przecież droga to już utarta, która prosto do celu wiedzie? Czy obyczaje towarzyskie i rodzinne, nawyki z pokolenia na pokolenie przechodzące, dają się odrazu przetrwać i tak skutecznie, jak tego pragnąć należy, właśnie ze względu na te wszystkie interesa, na te wszystkie strony życia, które się w nas zatrwożonemi uczuły? Nie, bo rzecz nie jest łatwą; przeciwnie, jest ona trudną, i trudną byłaby wtedy nawet gdyby całe społeczeństwo składało się z samych ludzi rozumnych i podniesionych nad słabości, wady, namiętności, które w poprzek zwyczajnych dróg człowieka stają zawsze, dopóki trwa życie, bo z życia samego powstają. My do szcze-

gólniej silnego wyrobienia woli i hartu ducha, nie wiem czy możemy rościć sobie prawo, ale kochamy przecież, a miłość, gdy jest prawdziwa, tak, jak wiara, góry przenosi i na wszystko zdobyć się może, nawet na stworzenie sobie w piersi cnót nowych, któreby jej pragnieniom oparcie dały. Że położenie rzeczy znamy, że rozumiemy, jak stanowczym jest moment czasu, który przeżywamy, początek już zrobiony, abyśmy weszli w siebie poważnie i nie byli pchani w kierunku reformy obyczajów naszych przez nieprzewartą siłę niedostatku, ale urządzali się w położeniu tem trudnem z myślą rozumną, która umie rzeczy według ich prawdziwej, nieprzechodniej wartości szacować—z budżetem, gdzieby wszystkie pozycje przychodów i rozchodów oznaczonymi zostały, gdzieby potrzeby nasze miały liczby postawione według wagi i miary rozumu i uczucia, według miary i wagi obowiązku.

Czem posiadane mienie jest mniejszem, tem trudniejszym staje się rozdział taki, bo każda cnota i każda wada głos podnosi, upominając się o jakiś dział dla siebie. Bogacz, a przynajmniej człowiek dostatni, może czasem bez szkody, ciężko potem odczutej, i coś dla fantazyi lekkomyślnej wyrzucić o coś mniej troskliwie zabiegać, ale ubogi takie pomyłki w rachunku z mieniem swoim drogo przypłaca, bo każda wartość zmarnowana wykazuje mu się niedoborem w rubryce obowiązku i sprowadza niewypłacalność, zadłużenie się smutne.

W Górach Czeskich, gdzie przy gęstem zaludnieniu rodzi się mało zboża, sianego na drobnych półkach, które po łagodniejszych stokach, wśród szczęśliwiej położonych dolinek zaorać się dają, jest zwyczaj, że nie matka, ale ojciec rodziny chleb dzieciom kraje. Dostają go one z tej ręki ojcowskiej tylko raz na dzień, a gdy o przyczynę tego szczególnego zwyczaju z podziwieniem pytała, widząc jak kobieta, wszystko sama naszykowała, przed mężem chleb i nóż

kładzie, powiedziano mi, że tak być musi. Matka z miłości dla dzieci, mogłaby im krajać chleba za wiele—za wiele w stosunku tej miary, która drogocenny „dar Boży“ tak rozdziela, aby go na przednówku nie brakło. Słyszając te słowa odpowiedzi, poważnym głosem mi danej, uczułam oczy napelniające się łzami, a teraz, gdy ustne i pisane rozprawy o oszczędności dokoła się toczą, ów podział chleba w chacie góralskiej, zawsze mi na pamięć przychodzi. Tak winny gospodarować ludzie i ludy ubogie—mienie posiadane na potrzeby dni wszystkich tak rozdzielać, aby nagle nie zapanował brak, nędzą już będący. I zbroić się przytem trzeba wobec najmilszych właśnie istot w taką siłę sportańską, która nie jest bynajmniej twardością serca, dlatego, że niewzruszona, ale, przeciwnie, przez tę niewzruszoność dowodzi uczuciowości najwyższej, bo myśli zawsze troskliwiej o przyszłość tego, co jest sercem drogiem.

Uczuciowość to jest, tylko rozumna i przez siłę rozumu nad uległość wrażeniom podniesiona, miękkiej słabości nie dopuszczająca i mężna, bo mężnie wzruszenia serdeczne zwyciężająca.

Ale do takiej oszczędności nie każdy i niezaraz jest zdolnym, bo obok hartownej siły ducha, która się od postanowień swoich nie cofa, która się przy nich mocno trzymać potrafi, trzeba czegoś jeszcze. Trzeba wszystkie potrzeby, zaspokojenia się domagające, rozgatkować sobie na wyższe i niższe: na konwencyonalne lub zbytkowe, więc też bez szkody usunąć się dające, i te inne, które jak chleb powszedni są pokarmem niezbędnym dla organizmu, chcącego się rozwijać się zdrowo, według szlachetnie pojętej formy ludzkiego istnienia, ze szlachetnym dążeniem w kierunku celów, których osiągnięcia godzi się uczciwym ludzkiem pragnąć i na przybliżenie się do nich pracować.

Od takiego-to potrzeb naszych podziału, od takiej ich klasyfikacji zależy, aby oszczędność

czyniona nie stała się nieszczęściem i upadkiem moralnym, obok materialnych dostatków zmniejszenia—nie zastąpiła nam drogi postępu, nie powaliła nas o ziemię, kamieniem grobowym piersi nam przyciskając. Jeżeli się tylko zbytek usunie, jeżeli się tylko liचे używanie zmniejszy, jeżeli się ręce silniej do pracy przyłoży,—a z budżetu wydatków zejdzie, nie książka naprzykład, ale balowa suknia, ale koń cugowy, i drogie cygaro, i kosztowne wykwinety toaletowe, i przyjęcia gościnne, na wzór bogatej zagranicy urządzane—jeszcze to nie bieda będzie, jeszcze to nie będzie nędza i może nie być ruina!

Abysmy przecież takiej, a nie innej reorganizacji naszego życia dokonać zdołali, abysmy wiedzieli, co potrzeba najpierw usunąć, a przy czem do ostatka stać jest powinnością cywilizowanego społeczeństwa, które nie chce w dzikość zapasć, i dróg swoich wśród ludzkości się rzec, wykoleić się z nich i liचे, nędznie wegetować, lub uparcie przy dawnym trybie życia się trzymając, resztę dawnych zasobów samobójczo spżyć, mówiąc sobie, jak ów król egoista: — *Après nous le déluge!*... potrzeba się moralnie do tego przygotować.

Trzeba obok oszczędności wyrobić w sobie te cnoty, które ją na szlachetny sposób umożliwiają i za dobre oparcie jej służą; trzeba z drugiej strony pozbyć się wad, które złemi poszeptami dobre postanowienia psują i w wyborze środków oszczędności na złe drogi prowadzą.

Ta licha próżność, ta małoduszna pycha, która dumę swoją na pieniądzach, na majątku zasadza i nim błyszczyć tak pragnie, że tonajwyższą swą ambicyą czyni, aby z pańskością swoją przed oczyma ludzkimi się pokazać, jest to ciężka zawsze i niska, nędzy moralnej dowodząca wada, ale w obecnej chwili już ją nazwać trzeba najcięższą, bo ona to głównie, albo dobre postanowienie oszczędności rozbija, albo tej oszczędności złe drogi wyznacza. Jej też może najpierw pozbyć się nam trzeba, jeżeli kryzys obecny nie ma być dla społeczeństwa naszego zabójczym, ale jakie są środki do tego? Tylko takie ducha podniesienie, które wyższe wartości, wyższe niż pieniądz nabytki człowieka, uszanowaniem i czcią swoją darzy, dokonać tego może.—*Sursum corda!* zawłać też trzeba. „Niech serce żywiej dla innych wielkości zabija, niech pragnienia w innym, podnioslejszym kierunku się zwróca, niech ideały sięgają ponad materialnych blasków i przepychów świetności: a wtedy dopiero przestaniemy czcić tego złotego cielca, przed którym teraz się kłęką—choćby w błocie. Przy ogólnej niezamożności naszej, przy biedzie nawet, która już ogłowi czuć się daje, ta pańskość, jeszcze ostatkami pozorów świecić chcąca, jest tak wstrętna i bolesna, taką wewnętrzną nicość wykazuje, że może wyrwać z piersi smutnego człowieka ten okrzyk rozpaczny:—„Pawiem narodów byłaś i papuga!”

Fałszywy wstyd uczynienia pierwszego kroku wstrzymuje przecież wielu, większość może, od zmienienia skali życia, które przy wysiłkach na jego utrzymanie czynionych, przy ofiarach, których to wymaga, przy strasznej, czarnej perspektywie przyszłości, jest przecież męczarnią bez nazwy. Ach! jakby to odetchnęły piersi, jak swobodnie uderzyłyby serca, gdyby to brzemie sztucznego istnienia, ta szychowa szata dostatku, paląca jak tunika Nessusowa, raz zrzuconą, została! Znalazłyby się inne, niż dziś, siły do pracy, inna niż dziś duma wstąpiłaby w łona i widmo zagłady przestałoby płoszyć sen z oczu przezorniejszych! Trochę odwagi, trochę samodzielności i lepsze zrozumienie godności człowieka!—wreszcie postawienie wyniosłe przeciw świetności złota i jego nabytków, wyższych, świętszych człowieka dostojności: a zwycięstwo pozyskanem by zostało! Epoki panowania takich wielkości lichych powstają z tej jedynie przyczyny, że szlachetni dumnymi być wtedy nie umieją, że z żalem lub uśmiechem cofają się w tył, i zamykają w sobie gorycz smutnego nad upadkiem opinii uczucia.

Obok tej najniższej już z próżności ludzkich, próżności pieniężnej, która, powtarzam, z braku, wyższych szlachetniejszych ideałów w ludzkości powstaje tuż zaraz stoi próżność druga, równie szczęście i mienie rodzin rozkładająca, głównie już próżność

kobiety, która sama siebie świetlanym punktem czynić pragnie i w tym celu świetnością się otacza—zbytkuje. Strojnictwo kobiety, wykwintność w jej dom wprowadzona, zład płynnie. Chce się stać piękną, chce być powabną i środków podwyższenia wdzięków swoich w upiększających ją draperiach poszukuje. Jeżeli tak błędzi matka, usiłująca w ten sposób urodę córek podnieść i powabniejszemi je czyniąc, więcej oczu ludzkich na nie ściągnąć, lepiej za mąż je wydać—zład do tego drogę obiera, źle córki do życia przysposabia i częściej im zawody, niż los pomysłny gotuje, bo takich panien lękają się ludzie poważni i rozsądni, strojnicy i do zbytku przyzwyczajonych wytworais na towarzyszy życia, na gospodynie domowych swych ognisk nie pragnąc. Ucieka przed niemi również młodzieniec z poetyczniejszą, szlachetniejszą duszą, wtenczas nawet, gdy go ich naturalny urok pociąga, i do takich to, wykolejonych o zaraniu życia dziewcząt biednych, zwłaszcza jeżeli niebogate są, a tylko pozorami majątku błyszczące, odnosi się stare przysłowie nasze, że ich pan nie chce, a ubogi wziąć nie śmie.

Błąd to tak wielki, jak zwichnięcie losu dziecka swego, któremu matka powinna własnie drogi życia prostować, torować je przed młodą, nie-doświadczoną istotą; ale są tu przecież pewne, — pewne okoliczności, winę łagodzące, bo to zaślepienie miłości macierzyńskiej, i choć pomyłka powstaje z mniej szlachetnego pojęcia życia i mniej szlachetnymi czynnikami się posługuje—zawsze jednak cel był godziwy zapewnienia przyszłości dziecka swego i nie grały tu w piersiach kobiety pobudki złe i samolubne. Ale gdy zbytkującą strojnicą jest związana już obrączką ślubną kobieta, gdy wdzięki swą kosztownie sztuką pięknych szat, wytwornych ozdób podnosi mężatka—cóż ona jest? Jest zalotnica, albo co najmniej istota tak płocha, że nie umie sobie zdać sprawy z tego, co czyni i bezmyślnie jest grzeszną, bezmyślnie zaprzecza godności kobiecej i pojęciu obowiązków swoich. Jeszcze Marya Leszczyńska powiedziała surowo damom swojego dworu, że im niższem jest pojęcie kobiety zacnej, im gorsze są obyczaje, tem na tę widownią świata, gdzie wdzięk kobiety, piękność kobiety palmę męskiego hołdu otrzymuje, więcej występuje zamężna. Historia nasza przedstawia tej prawdy bolesną ilustracją. Czasy Saskie to początek światowego panowania, salonowych sukcesów mężatki, i ona też głównie wodzi korowod tej dobijającej nas orgii w Stanisławowskiej epoce—ona piękna, strojna ta pani! Niema już matrony i matki rodów, jest tylko zalotnica, która potem musi sobie posypywać głowę popiołem i oblekać szatę pokutnicy.

W miarę, jak się obyczaje podnoszą i uszlachetniają, mężatka przybiera poważniejsze, dostojniejsze, zgodniejsze z naturą rzeczy oblicze moralne i zaczyna się jednocześnie era odrodzenia godności naszej: wracają w serca uczucia obywatelskie, wracają prawa swego języka i księżniczka Czartoryjska pisze „Malwinę“, Tańska „Pamiętkę po dobrej matce“ i staje się moralną prawodawczynią kobiety w najszlachetniej pojętym ideale życia jej wśród rodziny i społeczeństwa, tak, jak szlachetny ideał czystej miłości dla szlachetnego mężczyzny przedstawiła w pierwszej powieści polskiej najczystszej choć najniezwyklejszego życia kobieta—autorka Malwiny.

Wracając się w tył do czasów Stanisława Augusta, pole do ciekawego studium obyczajów naszych przedstawiają różnice kobiet, należących do dwóch partyi politycznych owego czasu. Wszystkie te piękne panie, głośne z wabnego wdzięku, wszystkie te zalotne zbytnice, lekkie, liचे istoty, których nazwiska zostały zapisane w ówczesnej kronice galanterii—to partya dworu. Kobiety ze stronnictwa Kołłątaya, Ignacego Potockiego, ze stronnictwa Czteroletniego Sejmu—to matrony uczciwe, kobiety nazwisk czystych, dobre żony i matki, poważne, skromnego wdzięku kobiety—niezbytnice!

Tak było u nas po wszystkie czasy: rodzimy nasz pierwowzór zacnej mężatki wyklucza pojęcie strojnicy, bo wyklucza pojęcie pragnącej hoł-

dów kokietki, która pragnie podbijać i mieć orszak zaprzężonych do rydwana swego wielbieli. Uwydatnia to literatura: w poezji naszej, w powieści naszej prawie niema romansu mężatki tak, jak z dumą podniosłą powiada Żmichowska ¹⁾, że niema tego w obyczajach naszych. Podobnie jest w powieści angielskiej, podobnie jest w powieści niemieckiej, chyba wyjątkowo występuje tam miłość zakazana, i wstydząca, osławiająca kobietę, a nigdy nie wychodzi ona dodatnio, w obrazach, któreby wzruszały dla niej czytelnika, tak, jak to się dzieje w literaturze francuskiej. Do czego też doszła Francya z obyczajami swemi—widzimy! One to odebrały jej siłę, one, podkopując rodzinę, podkopały naród w jego dzielności i chwale.

Po życiu nad stan, po życiu zbytkownem z jakiegokolwiek powodu, z jakiegokolwiek pychy i próżności powstałem, wadą która się najsilniej z cnotą oszczędności sprzecza—jest, niestety! nasza wrodzona lekkomyślność, która zabawy i wesołego świętowania tak pożąda, że to, nietylko, jako rzecz z konieczności kosztowna, zapasów zebrać nam nie pozwala, ale nie pozwala zarazem na to zastanowienie się poważne nad położeniem naszym, nad chwilą czasu, w której żyjemy, tak, że „Polak staje się mądrym dopiero po szkodziu“ nie przedszkodą, czyli staje się mądrym poniewczasie, zapóźno, kiedy go już strata spotkała i on ją teraz ciężko odrabiać musi, jeżeli nie chce pozostać nędzarzem w dół życia, zepchniętym. Bawimy się do ostatniego kresu nieszczęścia—do ostatniego momentu ruiny nie zmieniamy trybu lekkomyślnie wiedzionego życia i gromy losu spadają na nieprzygotowanych, nieopatrzonych obronnie, jakoby nieprzewidziane, i zład widzimy na kartach naszego publicznego żywota i prace, i heroizmy spóźnione. Gdy przecież szlachetniejsi wysilają się na nie, choć wtedy plebs duchowo niższy jeszcze nie umie stać się mądrym, nie umie się poważnie nad położeniem zastanowić i powiada sobie: „Kiedy bieda, to hoc!...“ To ostatki wydziera... *hoc* owo—owe hołupce biedy z nędzą, lecz i to przysłowie, musi wreszcie ostać się jedynie w kronikach naszych moralnych, bo w życiu już jego zastosowanie stanie się wkrótce niemożliwem, gdy w taką ciężką służbę na kawałek chleba pójdziemy, że i ów nawet taniec śmierci, stypa pogrzebowa już pokornym robotnikom pozwoloną nie będzie. Nad tę wadę lekkomyślności, z której się niemal wszystkie inne rodzą, podnieść nam się trzeba napilniej, jeżeli poważnie myślimy o ratunku—o oszczędności, która ma nas ocalić.

(Dokończenie nastąpi)

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

— Gżanka idzie przecie za szlachcica i urzędnika, jakiegoś tam starostę: a czemużby moja nie miała jeszcze wyżej sięgnąć! Wychowałam ją tak, że tu żadna wasza wielka pani jej nie sprosta.

Król zadumany nie zdawał się jej już słuchać, inne myśli go uciskały. Po chwili szepnął roztargniony:

— Poproś królowej wdowy, aby ją na dwór swój przyjęła. Panuy u niej trzymane w wielkim rygorze, a nauczyć się siła będzie mogła.

— Tak, nauczyć tego, co niepotrzeba—przerwała Bertoni, głową potrząsając—nie, nie, ja od siebie jej ani na krok nie puszcę.

Włoszka z poufałością dawnej domownicy poczęła się po pokoju przechadzać.

1) *Biała Róża*, Część II, *Bluszczu* N. 2.

— Co to za karły są? — zapytała — ja ich nie znam... Małpy też bodaj nie te?

— Wszystko mi powymierało—westchnął król. Wystaw sobie ten „Znosek“, którego tak lubiłem, co koziołki przewracał zrzęcznie i śpiewał, pamiętasz?... zmarł biedaczysko. Mikrosz także. Mam ci dwa. Lubomirski mi darował jednego, zowie się Babą, policzki ma takie napęczniałe, ale chorowity, płaksa i smutny, a Lump, którego mam z Niemiec, złośnik taki, że się z małpami, albo z Babą, nieustannie bije. Pocięchy z nich żadnej.

Po królu dwa karły zostały, ale królowa ich sobie pewnie przywłaszczy. Smutnie dokończył król tej spowiedzi. Bertoni ramionami poruszyła.

— Dwór mój wogóle — rzekł po chwili — szczupły jest i niedobry. Musiałem powróciwszy, brać pierwszych lepszych, a pieniędzy też nie mam. Tu, com miał znaleźć je, to mi jeszcze za wykup moich tenut płacić kazali. Z Karolem o Żywiec męka, z Denhofem, z Butlerem — skończył westchnieniem.

— A teraz, gdy na elekcyą tyle potrzeba...

Rozłożył ręce. Bertoni się zrywała i zaczęła znowu biegać po pokoju, poruszając, co się jej nawinęło pod rękę, książki, obrazki, różańce, papiery nawet, o których pozwolenie czytania nie pytała. Z natrętną ciekawością niewieścią szturkowała po kątach, zaglądała i choć król okazywał pewne zniecierpliwienie, wcale jej to nie obchodziło.

— Mnie tu ciasno — rzekł po przestanku. — Chciałem się wynieść do pałacu na Krakowskie: Karol mnie nie puszcza; w Ujazdowie byłbym za daleko.

— A na co to wszystko, gdy czasu elekcyi wam tu nie dadzą siedzieć — przerwała Bertoni, a po niej na zamek się wniesiecie.

— Królowa połowę zajmuje! — zamruczał Jan Kazimierz.

— Z nią się pogodzicie — zaśmiała się Włoszka, zbliżając do siedzącego. — Mnie się widzi, gdy wam koronę na głowę włożą, królową wam senatorowie narają.

Zerwał się Jan Kazimierz z siedzenia.

— Ale ja jej nie chcę! — zawołał gwałtownie. Mało to ojcemu naszemu nawypowiadano, że siostrę wziął po siostrze, a cóżby było, żebym ja po bracie żony pożądał? Dopiero-by mnie Sodomą i Gomorą chłostali!

— A Papież od czego? — odezwała się Bertoni.

— Ja jej nie chcę! — powtórzył stanowczo król i zamilkł nagle.

Wtem zegar stojący na stole godzinę wygrać zaczął, był bowiem tak urządzony misternie, iż gdy wybić miała, na wiezyczkę występowali trębacze i muzyka słyszeć dawała bardzo wdzięcznego kuranta.

— Masz co do mnie? — zapytał król.

— Miałabym wiele — odparła Włoszka — bo to się przecie niegodzi, ażebyś o mnie i mojem dziecku zapominał, ale litość mam nad królem bez kraju. Obrachujemy się później. Widzę, że ja starania się o tę koronę drugą nie potrafię odradzić; ale że ją potem sam składać będziesz — dam gardło!

Nic nie odpowiedział król. Bertoni skłoniła się nisko i miała już odchodzić, gdy jej coś przyszło do głowy.

— Mój królu — zawołała — nie każcież przede mną, jak przed jaką żebraczką, drzwi zamykać. Ja się też wam pod czas przydać mogę, bo wiele rzeczy wiem i wiele bezpieczniej zaniosę, gdzie trzeba, niż kto inny. Masz już królem być, a zachciwa ci się tego: ja powinnam posłużyć — nie kto inny!

Tak ledwie się jej nakoniec król pozbył. Odprowadził ją za próg oczyma zasromanemi, zdając się mówić do siebie: „Oto są grzechy twojego żywota! Mszczą się one do dni końca, a pozbyć się ich... nie można.“

W smutnem usposobieniu, przeszedłszy się parę razy po pustych pokojach, Jan Kazimierz rzu-

cił okiem na płonącą lampę przed cudownym obrazem — i wolnym krokiem zbliżył się ku niemu, aby na modlitwę ukłęknąć.

Wrzawa jednak między karłami i małpami taka jeszcze panowała w przedpokoju, że wprzód musiał, pokojowca przywoławszy, nakazać, aby natychmiast wszystko się uciszyło.

Już wreszcie klęknąć miał, gdy pośpieszne kroki i bez oznajmienia otwierające się drzwi zmusiły go powstać. Butler, którego się już nie spodziewał, i młody Tyzenhauz komornik jego, wbiegli razem, z twarzami przerażonemi.

Pobladał, zobaczywszy ich, Jan Kazimierz.

— N. Panie — wołał od progu starosta — jedne po drugich wieści najokropniejsze od Lwowa, Zamościa... zewsząd... Hiobowi posłańcy... w mieście popłoch... wojska nasze rozproszone, szlachta w sromotnej rozsypce.

Chmiel się odgraża iść na Kraków... naszych posłów więzi, a trzech pono ściąć kazał... o pokoju i układach ani chce słuchać.

Król naprzód oczy sobie zakrył, potem załamał ręce.

— Na kolana naprzód! — zawołał — na kolana... Litanią do N. Panny odmówić... opieki jej wezwać — potem reszta.

Sam tedy pierwszy padł przed obrazem i, jęcząc prawie, począł po łacinie litanią, do której Butler i Tyzenhauz odpowiadali; ucałował potem ziemię i wstał z oczyma łez pełnemi.

— Mówcie — rzekł, padając na krzesło.

— Klęska byłaby niczem — począł starosta — ale srom... Szlachta, nie bijąc się, samym postrachem z pola zegnana przez chłopstwo, rozbiegła się; a że szli na tę wyprawę z butą wielką i nabrali wózów, sprzętów, sreber, kosztowności bez miary — wszystko się to stało łupem Kozaków i po spólstwa... Jeńców też Tatarom, człowieka za konia, dają.

Motłoch się uzuchwalił i już pomiarkowania mieć nie będzie. Stał pod Zamościem... Lwów cudem się mu okupił... Co dalej będzie?... Odgrają się całą Rzeczpospolitą zalać...

Król się porwał.

— Gdzież więc siły nasze? gdzie mężowie, hetmani? senat, wojsko!? Przecież jeden pogrom taki nie może potężnego zniszczyć państwa do razu... Jest ratunek... Mamy może gdzieś sojuszników i sprzymierzeńców...

Wtem Butler przerwał:

— Kogo? N. Panie? Na cesarza pewnie teraz rachować nie można... Francya za górami, choćby chciała... Pruski nasz hołdownik będzie rychlej z nieszczęścia korzystał... a Szwedzi...

Chwycił się król za głowę.

— O! losy nieszczęsne — kraju tego — zawołał — przywieźni jesteśmy do tej ostateczności, że na podłych Tatarów jednych jeszcze cokolwiek liczyć możemy, jeżeli ich od kozactwa potrafiemy odciągnąć.

— To sprzymierzeniec gorszy od wroga, bo i sromotny wreszcie — rzekł smutnie Butler.

Gdy to mówili, a Tyzenhauz powtarzać zaczął dopiero co słyszane wieści o klęskach... zapukało do drzwi, choć godzina była niezwykła. Tyzenhauz pobiegł i oznajmił ks de Fleury, kapelana królowej.

Wchodził blady i przerażony.

— Prawdaż to? — począł zwracając się do króla — prawdaż? Królowej doniesiono, że nawet Krakowowi Warszawie zagraża niebezpieczeństwo... Pani moja przeleżała przysłała mi do W. Król. Mości.

Butler wystąpił, nim się król zebrał na odpowiedź.

— Uspokójcie królową JM. — rzekł — przynajmniej Warszawie nic nie zagraża. Senatorowie i szlachta gromadzą się na elekcyą... nieprzyjaciel wazyć się nie będzie na stolicę... wiedząc, że tu siła jest znaczna.

Klęska musi być wielka, bo zewsząd się ona potwierdza: ale w takich razach któż nie wie, że ją strach powiększa — bo, jak u nas mówią, ma wielkie oczy. Chmiel przecie nie wazył się na Lwów; jakżeby miał grozić Krakowowi lub Warszawie??

Król przystąpił też do ks. de Fleury.

— Uspokójcie królową — rzekł.

— Gdyby w istocie najmniejsze groziło niebezpieczeństwo, królowa-by wodą chciała ze swym dworem i zakonnicami udać się do Gdańska, gdzie najpewniejszą być może — mówił spowiednik.

— Niech Bóg uchowa, abyśmy już do tej doszli ostateczności — przerwał Kazimierz.

Niedługo się zatrzymawszy, odszedł spowiednik Maryi Ludwiki, ale na całym zamku przez noc te chwili prawie spoczynku nie było. W gospodzie ks. Karola nad Wisłą, pomimo słoty i nieprzyjemnej pory, tłum nieustannie napływał, mieniając się... a każdy tu coś ze sobą coraz straszniejszego przynosił.

To, co opowiadano o okrucieństwach i zuchwałstwie Kozaków i z nimi połączonego motłochu przechodziło pojęcie wszelkie. Na szlachtę zbiegłą zpod Piławiec piorunowano.

— Dawniej kądzieli takim posyłano i skórki zajęczą — wołali niektórzy — a tchórze się sami potem ze sromu wieszali, bo kobiety z nimi żyć i do domów ich przyjmować nie chciały, a dziś zajęcy-by i kądzieli dla nich zabrakło...

Drudzy mitygowali i łagodzili...

— Dobrze tu nam zdaleka sądzić i skazywać — mówili — ale gdy się raz popłoch weźmie, trzeba tam na miejscu być i widzieć, że człowiek, gdyby jak chciał, prądowni się nie oprze.

— Ostatnia na nas przyszła godzina — jęczeli strwożeni.

— Nie pozostało nam nic, tylko się kozactwu okupić, pokój zawrzeć a pracować nad tem, aby wojsko nowe i lepsze... zaciągnąć.

— Pierwsza rzecz... aby się hetmani i panowie nie kłócili z sobą — radzili inni — wszystko z tego poszło, iż Jeremiego nie słuchano... bo on im solą w oku... a jego jednego się Kozacy boją.

W gwarze tym i rozstroju w końcu nie już rozwieść się — do niczego dojść już nie było można; przeklinano i narzekano tylko, a temwięcej do białego dnia zapijano, im straszniejsza rozpacz ogarniała...

Nie lepiej było na mieście, dokąd z zamku przynoszono wiadomości, po drodze je powiększając. Przybywali też senatorowie z różnych stron, wyprzedzając termin elekcyi, niespokojni, ale i ci pocieszającego nic nie przynosili z sobą.

Skupiano się tu około Ossolińskiego; pozdrawiano królową; niektórzy odwiedzali Kazimierza; bardzo niewiele zbliżało się do księcia Karola, któremu teraz trudno było zawiązywać stosunki, gdyż przez tak długi czas zupełnie je zaniedbywał.

Wszyscy jednym głosem, zgodnie wołali o przyspieszenie elekcyi, która zdawała się warunkiem niezbędnym do zawarcia jakiegokolwiek umowy z Kozakami.

Z każdym dniem liczba senatorów szczególnie zwiększała się i rosła i duchowni tymczasowo zbierali się u przybyłych biskupów, w klasztorach Jezuitów, Bernardynów i Reformatorów, na codzienne narady. Przewidywało to zawczasu duchowieństwo, iż z klęsk i osłabienia nie omieszkają dyssydenci z jednej, a Rusini dyzunicy z drugiej strony korzystać. Dawały się już słyszeć głosy, że Chmiel zniszczenia Unii Brzeskiej się domagał i w Senacie chciał metropolitę swego posadzić. Dawało to miarę innych wymagań.

Pomiędzy Senatorami, jak Adam Kisiel i inni grecy, którzy do Unii nie przystąpili, słyszeć się dawały głosy: „Czemuż nie mamy tych praw pozyskać, co dyssydenci, co katolicy, jeżeli wiernie tej Rzeczpospolitej służyć będziemy?“

Chociaż napozór zupełnie od wszelkiego udziału w sprawach kraju usuwająca się królowa nigdy z nikim o nich nie zagaiła rozmowy, polecając tylko siebie i sieroctwo swe opiece Rzeczypospolitej — czuli to wszyscy, iż wielki wpływ wywrzeć mogła na elekcyą samą. Za jej wskazówką niewątpliwie musiałyby pójść Dwór Francuzki i Stolica Apostolska. Nie tajemnym było, że od śmierci króla — gońce, posły i listy szły nieustannie do Francyi, a nawet zpomiędzy tych

osób, które królowej najpotrzebniejszemi były, wiele się z jej polecenia wybrało do Francji.

Pomimo to Marya Ludwika pozornie się obojętną całkiem zdawała i zrezygnowaną—nie zdradzając się ani słowem.

Ponieważ ks. Karol rzadkim tu bywał gościem, więc i częściej się dobijającemu do drzwi Królowi Szwedzkiemu—nie zawsze je otwierano.

Strzegła się królowa tego, aby mu nie okazała faworu szczególnego.

Jan Kazimierz wiedział przez swoich o wszystkim tem, co się u królowej działo, a dla oczu dworu było przystępnem; niepokoił się, wnioskował... trwożył.

Szczególniej go obchodziło to, iż senatorowie wszyscy tak wielkie Maryi Ludwice okazywali uszanowanie i garnęli się do niej. Najpoważniejsi z nich godzinami tam na rozmowach siedzieli, a niekiedy, niby przypadkowo, po dwóch i trzech schodziło się ich tu razem.

— Są to widocznie *conciabula* — mówił król Butlerowi—ale z nich nie wychodzi na świat. Ja zaś, jeżeli mi się do królowej uda dostać, nie się też od niej dowiedzieć nie mogę. Zbывa mnie tem, że się do niczego mieszać nie chce.

— N. Panie — mówił starosta — *clara pacta* to najlepsza rzecz: potrzeba, ażebyś W. Król. Mość otwarcie się rozmówił z nią.

— Sto razy rozpoczynałem: zbывa mnie, iż o niczem nie myślę, krom zabezpieczenia własnego losu.

Poruszał ramionami.

— Jeżeli ją Karol jakimi obietnicami na swoją stronę przeciągnąć potrafi, a ona mu potajemnie pomagać zechce... jego pieniądze, jej wpływ zapewnią mu koronę, a mnie pozostanie tylko wstyd, że się porwał naderemnie.

Po naradzie z panem starostą, który miał całe zaufanie Kazimierza, nazajutrz Butler, w godzinie, gdy dla wszystkich otwarte były pokoje ks. Karola, udał się do jego pałacyku tuż pod zamkiem.

Nie była to budowa nawet za oddzielną od niego uważać się mogąca, i ściśle się z nim łączyła, bo na części okolnego muru od Wisły wzniesioną została. Sam Biskup Wrocławski ją kosztem swoim budował, a że oszczędnym był—nie widać też było najmniejszej wystawności, i onych galeryi, posągów, malowań, któremi pałace Kazanowskich i Ossolińskich ówczesne się odznaczały.

Ład, czystość i porządek tylko pańską nadały gmachowi powierzchowność.

Butler, chociaż ks. Karola znał—nigdy u niego nie bywał. Tym razem odwiedziny wypadły tak, że dosyć gości zastawszy, starosta się nawet do biskupa przybliżyć nie mógł. Jednakże z wejrzenia, które nań rzucił, dorozumiał się Butler, iż zjawienie się jego zrozumianem zostało.

Rozmowa toczyła się, naturalnie, o groźnych wieściach, który kaaj cały trwożyły. Pokilka-kroć wśród niej ks. Karol napomknął o żołnierzu, którego zaciągnął dla obrony i o daleko większej liczbie jego, jaką wystawić zamierzał. Z wielką zręcznością wiodąc rozmowę, w końcu biskup przystąpił do Butlera i szepnął mu, iż zapewne nie bez jakiegoś polecenia przybywał.

— Zlecenia żadnego nie mam—rzekł Starosta—ale W. Książęca Mość znać mnie, że jestem sługą Króla Szwedzkiego i całym sercem mu oddanym, nic dziwnego, że tu przybył, aby się przekonać: czy istotnie W. Ks. Mość trwasz w zamiarze starania się o koronę...?

— Rzecz-to powszechnie wiadoma — zimno i krótko odparł ks. Karol—Nie luję się, że mi króla współzawodnictwo trudnem będzie do zwalczania, lecz mam część senatorów za sobą.

Zamilkł.

— Smutne to będzie współzawodnictwo — dodał Butler.

— Kazimierz to sobie powiedzieć powinien—przerwał gospodarz. —Długo się wahałem; pociągnęli mnie ludzie tem, iż dla niestałego umysłu na Ka zimierza rachować nie mogą. Dałem się nakłonić... i nie cofnę...

Wpatrzył się wyraziście w starostę, powtarzając raz jeszcze.

— Tak—nie cofnę...

— Król Szwedzki też, gdy raz się między kandydatów dał wpisać, nie uleknę się już... nikogo.

Małomówny biskup nie zdawał się nawet chcieć przeciągać rozmowy. Stał, jakby czekał, czy mu Butler czego więcej nie powie.

— Jeżeli król chciał przez was—dodał po napróżnem oczekiwaniu biskup—dowiedzieć się o tem, azali się nie waham... możecie go zapewnić, iż we wszystkim, co czynię, myślę zawsze długo, nim co postanowię, a obrawszy drogę, trzymam się jej wytrwale.

W. Ks. Mość pozwolisz mi jednak powiedzieć, że w tym wypadku zachodzą szczególne okoliczności—ośmielił się po namyśle Butler.—Nie mieliśmy jeszcze pono nigdy współubiegających się o koronę rodzonych braci. Czasu pokoju i po myślności niczem-by to było jeszcze... acz w rodzinie spór zawsze pożałowania godzien; ale dziś, gdy takie klęski zagrażają, gdy nieprzyjaciel wnętrzości szarpie... gdy przedewszystkiem zgody i jedności potrzeba...

Biskup zlekka ramionami poruszył.

— Ośmielę się i to dodać, bo co prawda, to nie grzech — dorzucił Butler — że W. Ks. Mość nigdy rycerskiego rzemiosła aniś zakosztował, a nam hetmana potrzeba i wodza.

Z gniewem odparł biskup, znany z wybuchów gwałtownych:

— Mości starosto! Wierzajcie mi, że ja też na koń sięś potrafię... a Król Szwedzki wielkim bohaterem dotąd się nie okazał.

To rzekłszy, ks. Karol, jakby się lękał siebie i większego roznamiętnienia skinał tylko głową Butlerowi i prędko odszedł od niego.

Nie miał już tu co więcej robić starosta i zwolna się ku drzwiom zawrócił, pozostawiając biskupa z garstką jego adherentów, która po większej części składała się z ludzi mało znanych i w kraju żadnego wpływu niemających.

— N. Panie — rzekł od progu, wchodząc do mieszkania Kazimierza — niema co rachować na to, aby biskup rozmyślił się i ustąpił... Mówiłem z nim: uparcie trwa przy swoim.

— Azatem: wojna!—mruknął król—boli mnie to, ale od dzieciństwa tak było: oileśmy się kochali z Alexandrem—(westchnął)—niech mu Bóg da odpoczynek wieczny... w chwale swej — o tyle Karol był mi zawsze wrogiem!

IV.

Jednym z mężów potężnego wpływu i znaczenia, którymi panowanie Zygmunta III i dwu jego następców poszczycić się może — był Stanisław Albrecht Radziwiłł, który już za Władysława IV-go i dostojenstwem i stanowiskiem wśród narodu i Senatu zajmował pierwszorzędne miejsce. Wpatrując się w skład ówczesnego społeczeństwa, łatwo jest dojrzeć w górnych jego warstwach dwa całkiem różne żywioły, które się na nie składały. Już od Kazimierza Jagiellończyka, a może dawniej jeszcze, szlachecko-pański świat polski dzielił się na te dwa obozy, jeżeli je tak nazwać można.

Jeden z nich winien był wychowanie swe i wykształcenie ziemi rodzinnej—i nosił na sobie piętno tradycyi przeszłości, obyczaju starego; wszystkich cnót i wad, jakie się z niego wyrodziły. Drugi, po pierwiastkowym przygotowaniu w domu — kończył nauki i wychowanie za granicą. Dopelnieniem jego były podróże, pobyt na dworach monarchów obcych, obeznanie się z językami i stosunkami europejskimi. Wszystkie znacniejsze rodziny wyprawiały tak swe dzieci do Włoch, Francji, Niemiec, na dwór cesarski — i z tych wychowanców Zachodu składał się w większej części Senat i grono ludzi monarchów otaczające.

Wielu z tych kosmopolitycznie wykształconych panów przywdziewało strój obcy i nabiera-

ło charakteru cudzoziemskiego, nie zbyt się już do starych przywiązując obyczajów, lecz wogóle podróże i doświadczenie nie odejmowało potomkom wielkich rodzin ich znaczenia polskiego. Z powrotem do kraju, ognisko domowe, matrony polskie co go strzegły, atmosfera przesiąknięta tradycjami — wszystko co otaczało młodzieńca — szczególniej szlachta, wśród której obracać się musiał — odżywiały w nim wspomnienia młodości, i kosmopolita, zachowując nabytek zagranicą uczyniony, — stawał się prawem dzieckiem swojej ziemi. Z takich-to ludzi, którzy zarówno z polskimi zagranicznymi jak ze szlachtą szaraczkową obcować i zrozumieć się mogli, składała się za Zygmunta III-go i synów jego izba senatorska, z małemi wyjątkami domorosłych a poważnych statystów.

Albrecht Stanisław Radziwiłł — można powiedzieć, — był jednym z najznakomitszych reprezentantów zarazem europejskiej i polskiej cywilizacji. Nie tak świetnie i jaskrawo występujący na widownię jak Jerzy Ossoliński — nie ustępował mu ani znaczeniem, ani powagą, a w wielu rzeczach zaufany ów Władysława minister, który zdawał się na politykę jego wywierać wpływ przeważny — Albrechtowi Radziwiłłowi ustępować i ulegać musiał. W tej chwili przesilenia krytycznego, gdy szło o wywołanie wojny z Turcją, może Albrechtowi Radziwiłłowi winną była rzeczpospolita, że nie dopuścił do wybuchu. Powstrzymał on Ossolińskiego naprzód, potem króla samego.

Władysław IV mógł do niego mieć żal, ale nie okazał go nigdy, a samo znaczenie kanclerza litewskiego w chwili zgonu króla wskazywało mu drogę, jaką zmuszonym był iść w czasie bezkrólewia.

Rozległe posiadłości jego i starostwa, jakie trzymał na Wołyniu i na Rusi, w początku wojny domowej z Kozakami, ogromne spowodowały straty. Dotknięty niemi, kanclerz ze stoickim spokojem patrzył na nie, gotów — jak powiedział, do ostatniej koszuli wszystko na obronę Rzeczypospolitej poświęcić. Żaden może z ówczesnych senatorów z taką otwartością nie określał położenia, nie oznaczał obowiązków, jakie ono wkładało, nie wyznawał przyczyn, które spowodowały to chłopskie powstanie na Rusi...

Po sromotnej piławieckiej katastrofie — Radziwiłł mówił otwarcie — jego są własne słowa: „Bóg zaprzędał ich, Pan ich pohańbił; pycha bowiem, wszeteczeństwo, ucisk i uciemiężenie ubogich — te to są, które na nich nacierały.“

Nikt się nie przyczynił dzielniej nad niego do zebrania nanowo sił ku obronie, do wiania ducha we strwożonych; nikt do większych dla ojczyzny ofiar nie był gotowym. Przykład jego działał dzielnie na drugich.

W podróży do Warszawy na sejm elekcyjny, o piławieckim pogromie otrzymawszy wiadomość, kanclerz przybył do Warszawy z jedną, najgorętszą myślą przyspieszenia wyboru, rozumiejąc to bardzo dobrze, iż Kozacy z królem łącniej, niż z samą Rzeczpospolitą, zuienawidzoną, układać się będą.

Pamięć Zygmunta III, któremu był winien wszystko — bo ten pierwszym się stał opiekunem młodzieńca i najlepiej ocenić go umiał — nie dozwalała Radziwiłłowi ani pomyśleć o innym panu krom o jednym z dwu synów jego. Miał do wyboru pomiędzy Kazimierzem i Karolem.

Nie można wątpić, że mimo miłości dla królewskiej rodziny Radziwiłł znał dobrze charakter, skłonności, wady Króla Szwedzkiego, zarówno jak księcia Karola. Z wielu względów ostatni może byłby miał pierwszeństwo u niego; lecz w tej chwili, jeżeli nie wodza i hetmana, to przynajmniej człowieka, któryby na koń mógł sięś, potrzebowała Polska. Tym księżę Karol nie był; znano go jako wielce pobożnego kapłana tylko.

(Dalszy ciąg nastąpi).

MUZYK.

Między stosem rupieci leży wiolonczela,
A przy niej stary muzyk klei coś z zapalem,
Kontent, że lekcyi nie ma, bo dzisiaj Niedziela,
Więc wziął się do roboty i z trudem miałym
Przykleja i odkleja na różne sposoby,
By utworzyć nareszcie takie arcydzieło,
Jakiego świat nie widział do dzisiejszej doby.
Cóż, kiedy przeznaczenie z góry się uwzięło
Przeszkadzać mu bez końca w mozolnej robocie!
On sam tak roztargniony jest dzisiaj od rana, —
To chyba dzień feralny (on w ducha prostocie,
Uznaje dni feralne) ta para spotkana:
Stary ojciec i córka, ciągle mu przed oczy
Powracają uparcie, wyraźnie jak żywi!...
Czemu on nie ma dzieci? gdy starość zaskoczy,
Gdzież ich znajdą na świecie ludzie litościwi,
By przygarnąć biedaka do swego ogniska?
Ach, gdyby on miał syna! — Choć wie z doświad-

[czenia,

Że karyera artysty niewdzięczna i śliska,
To jednak swoje własne, młodzieńcze marzenia,
Byłby chciał w niego przelać, i wierzyłby święcie,
Że syn jego zwycięży — gdy on walczył próżno!
Dzisiaj trudno jest sobie wytworzyć pojęcie,
Jak ten dziwak mógł roić dolę inną, różną
Od szarej i powszedniej codziennego życia;
A przecież on miał w duszy pragnienie wielkości.
I choć nigdy nie wyszedł ponad tłum z ukrycia,
On był jednak artystą aż do szpiku kości,
I kochał tak muzykę, jak może niewielu
Potrafi kochać w życiu najdroższą kobietę,
I marzył tak rozkosznie, że dojdzie do celu —
I w tej myśli zuchwałej znajdował podniecie,
Że sztukę ukochaną nowymi pchnie tory,
Że ją zbudzi, ożywi własną krwią młodzieńczą,
I że światu całemu gotowe da wzory.
A przyszłe pokolenia skroń jego uwieńczył!
Czemuż nic nie uczynił?... czy mu brakło może
Jednej mikroskopijnej komórki mózgowej,
By wszystkie te pomysły, jaskrawe jak zorze,
Lub niejasne i mgliste, co szły mu do głowy
I rwały się do życia i mózg mu paliły, —
Ując w jakąś melodyą, w jakąś pieśń przetwo-

[rzyć,

Nadać im formę nową pełną życia, siły,
I tyle krwi serdecznej, tyle duszy włożyć,
By tę piosenkę z pod serca, kędyś, w świat daleki
Rzuconą między wiatry i morza i góry,
Wszystkie echa rozniosły — i żeby przez wieki
Drgała w każdej cząsteczce ogromu natury!...
Dziś nic mu nie zostało; gorące natchnienie
Stygło powoli w piersiach i wyziębło z wiekiem,
I tylko, jak nóż ostry, utkwilo wspomnienie,
Że jednak on powinien być innym człowiekiem.
I musiał patrzeć smutno, jak świat bił pokłony
Tym, co może zdolniejsi, lub bardziej szczęśliwi,
Nie mieli przecież w sercu miłości natchnionej.
Która, zda się, świat dźwignie i groby ożywi!
Dziś sam jeden pozostał, bez złudzeń, bez wiary,
Los gorzko mści się na nim, że w szalonej dumie
Chciał pochwyć znikome, nieujęte mary,
A wzgardził prostym szczęściem, co każdy zro-

[zumie

I każdy znaleźć może na drodze żywota.
Biedny dziwak! — już teraz w przeszłości popiele
Zagłębić się tak rzadko przyjdzie mu ochota...
Cóż począć! nie ma dziecka... lecz ma wiolon-

czelę!

J. J.

BIAŁA RÓŻA

CZEŚĆ II-ga

przez

Narcyzę Zmichowską.

(Dalszy ciąg).

Urszulka już od chwili z fotelu się podniosła,
stała przy otomance i skarg pięknej Augusty
uważnie słuchała; na ostatnie jej wyrazy przy-
klekła trochę, a pieszczotliwie obejmując ramie-
niem leżącą:

— Nie natrętnie — oh! wcale nie natrętnie! — ze
szczerem rozrzewnieniem rzekła, a później, jak-
by rozmyśliwszy się lepiej — być może jednak, że
bezszytnie — dodała poważniej. Na twoją cho-
robę, Augusto w niki lekarstwa ani nawet do-
brej rady nie znajdziesz. Jeśli to prawda, żeś
czeka i uboga, aż do gruntu serca, żeś martwa
i bezwładna, aż do niezdolności powzięcia jakie-
goś życzenia — to Bóg sam chyba w twój kształt
człowieczy myśl i uczucie technąć może, niby
w ulepionego z gliny przy początku świata czło-
wieka. Lecz mnie się zdaje, że się musiałaś
w użyciu wyrazów pomylić; ubóstwem zowiesz
prawdziwe bogactwo swoje. Doctissime wolno
przecież łacińskich używać sentencji — odwołam
się więc do tej najpospolitszej ze wszystkich:
„Natura horret vacuum“ — co się wyklada dla pię-
knych dam, że w naturze nigdzie próżnia nie
istnieje; więc też i w duszy ludzkiej istnieć nie
może. Gdybyś rzeczywiście próżna, jak butelka
pneumatyczną machiną wypompowana, obnosiła
po świecie serce, toby w nie zaraz pełno błota,
koronek bruxelskich, płoteczek, zazdrostek lub
szalonych namiętności wleciało. Brak dobrego
wnet się głupstwem, grzechem, częstokroć i zbro-
dnią wypełnia. Kiedy zaś tobie, Augusto, ani
salonowe powodzenia, ani zbytki i wygody, ani
miodowe słówka lalek wyfrakowanych, ani nie
z tego, co cię otacza, duszy wypełnić nie zdołało:
powinnabyś się domysleć nakoniec, że w owej
duszy inny żywioł złożony, inne potrzeby i wła-
dze ukryte... Ja mam wyraźne przecucie tej pra-
wdy. Nie zbliżyłabym się nigdy do milionowej
dziedziczki, której-by się mojego towarzystwa na
chwilową rozrywkę zachciało, a sama widzisz
jak chętnie przyjechałam do smutnej Gucci mojej
której się szczerza przyjaźni i pocziwe słowo na
cokolwiek zdać mogą.

Augusta w czoło pocałowała mówiącą.

— Zrób jeszcze coś więcej dla mnie — rzekła
z nalegającym przymileniem — wskaż praktycznie,
szczegółowo, jakie-to żywioły, jakie potrzeby
i władze drzemają w duszy mojej, ku jakim celom
skierować je należy.

— Tylko ku najwyższemu i najpiękniejszemu
Augusto moja, tylko ku Bogu przez modliwą, ku
dobru ludzi przez poświęcenie.

Znów długa chwila milczenia zapadła.

— O Bogu jeszcze nie mówmy — odezwała się
nakońiec Augusta, głęboko rozważywszy każde
słowo swej przyjaciółki. Są ludzie, którzy się te-
go imienia wcale a wcale nie boją. Co rano i co
wieczór z kilkadziesiąt razy je wymówią, a nie
znac tego po nich — zawsze taksamo się nienawid-
zą, taksamo kłopotczą, taksamo tańczą, śpią, je-
dzą, wino piją i w karty grają. Co do mnie, je-
stem lękliwsza daleko. Pozwalam sobie z wła-
snem szczęściem żartować, pozwalam z prawami
doczesnymi się kłócić, pozwalam odważnie wszyst-
kie towarzyskie zasady próbierem sofizmu do-
świadczać; ale nie pozwoliłam sobie nigdy Imie-
nia Bożego nadużyć i pojęć moich o Bogu — mniej
pewną, mniej czystą myślą zamącać. Od czasu
jak do rozumu przyszłam, nikt mnie nie widział,
bym się kiedykolwiek w dyamentowy lub złoty
krzyżyk ustroiła. Sumienie moje nie znosi rażą-
cej sprzeczności modnego świecidełka z godłem
ofiary, boleści i śmierci. Tutaj, w ulubione moje

ustronie, patrz, Urszulko, prosty drewniany krzyż
wnieść kazałam także. Nie klękam przy nim co-
dziennie, aby codziennie wracać do zabaw, zby-
tków i grzechów. Oh! nie — kiedy ja raz u stóp
jego czoła nachylę pokornie, kiedy raz obiema
pochwyć rękoma i raz do serca przycisnę ten
krzyż prawdziwy, ciężki, nieozdobny: to go już
pewnie po ostatnią chwilę zgonu ani ludziom, ani
szatanom wydrzeć sobie nie dam. Kto wie: gdy-
bym się w przeszłość cofnąć mogła choć do tej
pięknej marzycielstwa godziny, w której mię tak
okropnie wysmiano, że się wdziękom księżycza
przypatruję; gdybym znów była trzynastoletnią,
kryształowego serca i zdrojowej myśli dziewczyn-
ką, — możebym lepiej zrobiła przykuwając się do
tego symbolu, choćby przysięgą, na wieki. Dzi-
isiaj nie pora — zapóźno i zawcześnie. Czuję, że,
przystąpiwszy, znów odstąpić-bym mogła, uko-
chawszy tę świętość, zateśchniłabym znowu ku
porzuconym a nieznanym jeszcze wrażeniom.
Przesuwając się zdala chińskie cienie moich
własnych myśli, w znikomości swojej niedotknię-
te, w tem, co mogą mieć prawdy, niedoznane, — ku-
silyby mię bezprzestannie. Rękę do pługa przy-
łożysz, ciągle poza siebie spoglądałabym roz-
żalona i niebo straciła może, dla tego, żem sobie
ziemi nie zagarnęła w poddaństwo.

Nie, Urszulko, ja się na taką próbę nie od-
ważę. Albo muszę znaleźć w doczesności mojej
skarb jakiś tak piękny, tak wystarczający na
wszystkie potrzeby mej duszy, bym się go
w wieczności całej nie wstydzila, bym nieśmier-
telność moją razem z nim nawet przez niego zba-
wić mogła; albo muszę dowodnie się przekonać,
że tu skarbów niema — że tu same błota, klam-
stwa, potwory, że owoc życia, co go w rękę trzy-
mam, to malowana łupina spróchniałego orzecha,
którą kamieniem rozbić, nogami zdeptać, sliną
wzgardy opluć i za okno wyrzucić trzeba. Póki
jednego lub drugiego celu nie dopnę — póty mi
zdala od krzyża, jak od wracającej z Siloe arki.
Mówmy lepiej o ludziach, Urszulko: cóż tedy dla
nich pokorna sługa twoja uczynić jest w stanie?

— Wszystko razem się wiąże — re-liguje, moja
Augusto. Fantazyujesz sobie, że przy Bogu i
przy Krzyżu stanąć ci jeszcze nie pora, a bez
Boga i bez Krzyża nic zrobić nie można. Bez
Boga i bez Krzyża ty, rozumna i bogata wśród
przesądów i niedostatków wiecznie pytać się bę-
dziesz: co dla uznanej prawdy, co dla rozrze-
wniającego cię nieszczęścia uczynić jesteś zdolna?
Pytać będziesz, lecz kategorycznej odpowiedzi nikt
ci nie poda, Augusto. Sztuczne recepty pobo-
żnych zachęt, doradzań i projektów, cała ta trep-
hauzowa metoda rozgrzewania serc leniwych ku
dobremu, na nic się tobie nie przyda. W konie-
czności twego położenia to leży, abys sama sobie
pod tym względem dawała rozkazy. Jeśli milio-
nowa dziedziczka, z natchnienia, czy to książki,
czy przyjaciółki pięknym zdaniem się rozmarzy,
jesli z podszeptu czyjogoś tylko po wsparcie dla
ubogich do biurka swojego sięgnie: to się z mi-
nowolnym uczuciem wyświadczonej łaski nie roz-
stanie — a łaska przez człowieka wyświadczona,
jeszcze mroźniej serce mu zziębni, niż je kiedy-
kolwiek rozplomić zdolną była łaska od czło-
wieka przyjęta. W stosunkach twoich z ludźmi,
najjaśniejsza Augusto, musisz jakiś sposób wy-
naleźć na to, byś ty im właśnie unienienie wdzię-
czną była, gdy ci nie przeszkodzą coś dobrego
zrobić dla siebie.

— Masz słabość do ogólników, moja droga —
chciej teraz na szczegóły rozdrobnić je trochę.

— Zgóry zapowiedziałam, że szczegółów nikt
ci nie poda; a zresztą twoja to rzecz, Augusto,
mnie ich więcej udzielić. Powiedziałaś mniej wię-
cej, czemu od Krzyża zdaleka stoisz; bardzo też
ciekawa jestem, czemu do ludzi się nie zbliżasz...
użytecznie.

— Jaka ty doctissima! jaka ty przebiegła.
Wiesz, a pytasz? Pytasz i zaraz sobie odpowia-
dasz: „Czemu do ludzi nie zbliżasz się użytecznie?“
Bo użytecznie do ludzi się nie zbliżam. Jeśli mam
trochę rozumu, to go w żaden sposób nie mogę
na walki z przesądami i ciemnotą wyprawić.
Mój najlepszy i mój prawdziwy rozum tylko
w listach do ciebie wypisać się i tylko w tym po-
koiku z tobą wygawędzić się może; wszędzie

zresztą „gdzie mama na wizytach bywa” ten rozum smutną rolę Donquichotta odgrywać by musiał i najdzielniejsze cięcia jego zawsze-by tylko na skrzydła wiatraczkowe lub na niewinne stada baranów padały. Co zaś tak zwana dobroczynność wszelka, ta się z mej strony jałmużną ograniczać musi; wiesz o tem nie od dzisiaj, Urszulko, a sama wybornie rozumiesz i tłómaczysz że rozdawanie jałmużny nie uszlachetnia i nie rozgrzewa wewnętrznego człowieka. Nigdy te datki pieniężne bez ofiary, ze wsparcia bez osobistego zespolenia, przez trzecią lub czwartą rękę na los ślepy rzucone, nie mogły rozbudzić zadrętwiałych władz ukochania w mem sercu, bo nie mogły ani rzeczywistego współczucia, ani rzeczywistej wdzięczności wywołać. Wiem, że są ubodzy i głodni; ta myśl jednak bez uprzytomnionego obrazu mniej mię rozrzuwnia, niż piękny o głodzie i ubóstwie w powieści przeczytany ustęp. nie bez tego, żeby mi też na myśl nie przychodziły zdania wielu nabożnych osób, które słowami ewangelicznymi dowodzą, że biedni są i być muszą, bo Chrystus powiedział: „ubogich zawsze mieć będziecie.” Nie bez tego, żeby i systemata ekonomistów politycznych nie trafiały do mego przekonania i żebym w ubóstwie indywidualnem nie widziała warunku z bogacającego najsilniejsze państwa. Wszystko to, wstyd może powiedzieć, ale wszystko tak mnie zewsząd niepodobieństwem przegradza od uczestnictwa w skutecznej przeciw nędzy moich bliźnich pracy, wszystko tak mi dowodnie ich cierpienia, jako nieuchronną konieczność przed oczy stawia, że mimowolnie zubożniałam na to, co jest, bo być musi. Wolałabym, zaiste, aby głodnych, obdartych i żebraków nie było, lecz wolałabym także, aby nie było szczyrów, ropuch i karaluchów na świecie. Pan Bóg je stworzył przecież; to cóż ja na to poradzę?

— Oh! zapewne, że z takim usposobieniem, nawet nie waży się radzić temu, Augusto; radź najpierw samej sobie, stokroć potrzebniejszą [tak] jesteś ratunku — i głos Urszuli drżał oburzeniem, a powściągał się jednak wielką litością nad sofizmującą towarzyszką; chciała odjąć trzymaną pół uściskiem na jej sercu rękę, lecz Augusta, przyciągnąwszy ją despotycznym ruchem:

— Mnie też głównie o to chodzi, żebym siebie ratowała — rzekła powoli sylłaby skandując i niby nie zważając na wrazenia Urszuli — Mnie głównie o samą siebie chodzi — powtórzyła przekonanie — Jednostkowa dobroczynność, jednostkowo dla mojej duszy, kto wie, czyby dobrą nie była, gdybym widziała, że czyj los zapewniam, czyjeś lzy ocieram, lub czyjeś życie ratuję; zaczęłabym się przywiązywać, mnieby także kochać zaczęto, i przesadzalibyśmy się aż do śmierci w tych ucztach wzajemnych starań i odwzajemnień. Ale, niestety, Urszulko: w mojem położeniu i tej niewinnej uciechy światowe względy poskapiły. Przypadek nic mi pocziwego nie nasunął, a ja sama wyszukiwać nie mogłam. Oprócz więc najsmutniejszego gatunku jałmużny groszowej, do zwoloną mi tylko zostaje jałmużna składek filantropijnych, bodaj, czy nie dokładniej zastudząjąca serca od wszystkich jej rodzajów po dzień dzisiejszy wymyślonych. Dla mnie przynajmniej, chciej posłuchać, jaką to idzie kolejną. Cząsteczkę bez przeznaczenia leżących w szkatułce pieniędzy, ja bogata, w twoje, lub upoważnione do tego cudze ręce składam, inni mnie nasładowują, i wy, miłosierni z urzędu, macie pewien fundusz do rozporządzenia. Jeśli nim, jaknajsumienniejszą masę potrzebujących obdzielicie, to się jednym nic jeszcze, a drugim tylko tyle dostanie, żeby natychmiast znowu potrzebować zaczęli. Mniejsza o to: nie wtrącam się do administracji; moralnych jej owoców, dla mnie najlakomszych, moralnych uczuć patrę tylko. Zaiste, odbierający wie aż nadto dobrze o tem, że udzielone mu wsparcie nie od ciebie, nie od wręczającego mu, je pochodzi; pierwszy dawca jest mu obojętny, bo nieznan, drugi jest w jego oczach machinkowym tragarzem, najczęściej niewystarczającego mu, wsparcia; kogoż i za cóż on więc kochać będzie?

— A tobie koniecznie się chce wdzięczności na odpłatę, Augusto?

— Mnie się koniecznie chce pięknych wrażeń na rozgrzanie serca; nie posądzajże mnie o jakąś pyszkę drobnieuczką, o chęć zużytkowania na własną chwałbę dziękczynien zobowiązanego małą przysługą człowieka. Te wszystkie czcze komedye tak mi już zbrzydły, że choć do grobu uciec-bym chciała przed nimi. Wszakże na zawołanie mieć je mogę w każdej chwili. Niech z karety dwuzłotówkę zamiast trzech groszy cisnę pierwszemu lepszemu żebrakowi, to mi zapewne całą litanią szumnych błogosławieństw i przymiotników wyśpiewa, niech jeszcze z tysiąc rubli na zakład jaki przeznaczę, to i w gazetach o mnie pisać będą; lecz co mi po tej muzyce głośnych, bo próżnych wewnątrz, instrumentów, co mi po tej pewności nawet, że Gawłowi grosz mój ulgę przyniesie, gdy mnóstwo niedowidzianych Pawłów zgnilemi kartoflami się truje i zapycha? Co mi po tem wszystkim, kiedy ja chora, kiedy sama żadnego wsparcia, żadnej nie odbieram jałmużny. Stwórz mi inne ku czynieniu dobrego warunki, daj mi sposobność poświecenia czegoś na widoczną korzyść moich bliźnich, a nade wszystko daj mi ich ukochać — daj ukochać! — a czego dziś nie pojmuję, to jutro zrozumie, co mi się dzisiaj niepodobnem, to jutro najłatwiejszem do spełnienia wyda. Ukochać tylko! ukochać! przyjdzie chwila natchnienia, objawią się cuda, stworzę siebie inaczej. Dziś wszystkie próby daremne: nie dowiduję, nie spostrzegam, nie umiem. Jedno mi do myśli nie przyjdzie drugie wnet z głowy uleci, tego nie spotykam, o tamtem zapominam mimowolnie każdy mój dobry uczynek, jak wiersz dobrego pisarza, jest konceptem, a nie jest poezją. Dziękuję ci za taką dobroczynność bez miłości.

— Gdybyś w całym rozdziwaczonym życiu twojem, Augusto, choć jedną chwilę prawdą Bożą przeżyła, mogłabym się do tej chwilkę odwołać, aby cię z gorączkowych marazmów na zdrowe powietrze wyprowadzić; lecz są rzeczy, o których-bys słuchała, jak o żelaznym wilku. Zostawmy to na później, jak [tak] się cierpieniem lub szczęściem wyuczysz tego języka, którym ja mówić oddawna już przywykłam.

— Szanowna mistrzyni, toć na oswojenie potulnych uszu moich, racz mi choć słówko o tym żelaznym wilku w twoim dyalekcie powiedzieć.

— Na oswojenie uszu powiem pięknej cudzoziemce takie naprzykład wyrazy. Kto chce kochać w zachycie płomiennym, w uweseleniu ducha i w nieba radościach, ten powinien kochać długo w oschłości, w tęsknocie, w niedoświetle ziemii naszej. Powinien kochać, nie żądając ani od siebie samego, ani tembardziej od drugich, choćby najeteryczniejszej nagrody. Wzniesienie uczuć gorętszych i czystszych, łatwość, jasność, wszechwładność zawsze przytomnej sobie myśli: to jest korona miłości, to jest przedsmak ostatecznego zbawienia, ale to jeszcze nie miłość jest sama.

— Prawdę powiedziałaś, doctissima, w tym mistycznym języku nie zrozumiemy się tak prędko; ja myślę, że kto niczego od ludzi nie wymaga, ten chyba najokropniej pogardzać nimi musi, i kiedy przestane od nich wymagać datku wsparcia, siły, uczucia i szczęścia, kiedy przestane sobie życzyć tej eterycznej, sercowej nagrody, wtenczas bądź pewną, moja droga, że nawet z to bą nie będzie mi się chciało... nawet o braku miłości rozmawiać.

— A wiesz, Guciu moja, co te wszystkie pretenzyje do świata i do ludzi założone znaczą?

— Zdaje mi się, że wiem, lecz i ty mów, Urszulko.

— Oto znaczą, że w twoim wieku powinabyś się rozkochać, pójść za mąż, mieć dzieci, mieć cel życia, mieć światek swój własny, przez którybyś wszystkie światy planetarne i słoneczne zrosniała natychmiast, w którymbyś wszystkich dopełniła obowiązków i wszystkie zaspokoila wymagania.

Augusta na głos się rozśmiała.

— Dziękuję ci, Urszulko moja — rzekła po ramieniu lekko ją uderzając — bardzo serdecznie ci dziękuję, że w ten sposób moją sprawę przedstawiasz; niezręczny jaki doktor medycyny byłby się mniej ozdobnie, a daleko surowiej wyraził.

No, i cóż powiesz na to? ja się zgadzam z twoim wyrokiem. Przekonaj się najpierw, moja pani, że wyrazami ludzkiego dykcyonarza łatwo i nadzwyczaj rzetelnie rozmawiać się umiem.

— Kiedy tak jest, najjaśniejsza Guciu: śpieszże się, kochaj śmiało!

— Czy pana Filipa?

— Nie narzucam ci pana Filipa, bo go nie znam, choć zawsze waruję sobie, że mam prawo trochę więcej zajmującym od skreślonego przez ciebie portretu go znaleźć. Ty już przywykłaś do swego utworu obrazów i gdy ci przyjdzie wzór żywy kopiować, ani kolorytu, ani wymiaru właściwego nie przestrzegasz dość pilnie: dajmy jednakże panu Filipowi odprawę. Kochaj tego w kim ci się zdaje, że jesteś zakochana.

— Trudno, trudniej — oh! najtrudniej podobno.

— A to dlatego, że masz dwie przywary, najszkodliwsze w stosunkach sercowych. Gucia jest straszek niezdolny, przed matką, przed bratem i przed ludźmi boi się przyznać do swojej skłonności, a najjaśniejsza Augusta znowu jest harda, jak kogucik na kościelnej wieżyczce, i tej skłonności wobec jej przedmiotu „uznać” nie chce nigdy.

— Na ten raz chybiłaś zupełnie: najjaśniejsza Augusta w innym jest kłopotcie; czy powiedziec?...

— Ma się rozumieć, a powiedziec tak szczerze, jakgdyby moje nawet uszy nie słuchały.

— Pierwej ty, Urszulo, przyznaj mi się, ale to przyznaj, jakgdybym ja także nie słuchała cię nawet: czy kochałaś kiedy?

— A na co ta ciekawość! zmów tylko pacierze.

— Nie mogę, źle odmówię bez twojej pomocy.

Urszula rozśmiała się półgłosem, lecz twarz jej trochę zbladła i ręka w rękę Augusty zadrgnęła.

— Więc ci powiem: kochałam — rzekła nakońiec spokojnie.

— Jeszcze nie dość na tem: wybac mi, wybac, jedyna moja, widzę, że cię dręczę boleśnie, ale muszę pytać. Kiedy kochałaś, co się działo w twem sercu? Kiedy kochałaś, czemu swoją miłością szczęśliwą nie jesteś?

— Czy chcesz kurs anatomii odbyć na mojem sercu, Augusto?

— Nie, tylko-bym chciała lepiej własne serce pojąć.

— Jedno drugiego nie wytłómaczy nigdy.

— Spróbuj, a zobaczysz na co mi twoje zwierzenia potrzebne.

— Na ośmielenie.

— Bynajmniej, na schemat życia.

— Oh! niech ci Bóg da lepszego dobrać sobie! Ale nie targujmy się, Augusto. Mów, co masz na myśli; ja znów, co mi przyjdzie na myśl powiem i schemat nowy, daleko właściwszy, się ułożę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń w Styczniu 1886 r.

Anna z Aussee. — Canon, Hoffmann. — Wereszagin. — Kronika sztuki. — Polscy malarze. — Rubinstein. — Patti.

(?) Przyzwyczajaliśmy się uważać rok nowy, jakby coś nowego, jakgdyby w sprawach ludzkich nastąpiła istotnie jakaś zmiana, przerwa, inne kierunki, jakgdyby zeszlóroczny watek się zakończył, a nowy rozpoczął. Jest to tylko przyzwyczajenie, nad którym się nie zastanawiamy, ponieważ jest przyzwyczajeniem, a stało się niem dlatego, że astronomiczny, kalendarzowy nowy rok się zaczyna. Prawda, że ten termin noworoczny pod względem formalnym wiele stosunków ludzkich reguluje; ale niemniej ludzie bez zmiany żyją dalej tak, jak żyli w Grudniu, i wątek spraw i rzeczy nie urywa się, nie zmienia.

Wyjątek tworzy tylko anioł śmierci; ubyli jedni, w ich miejsce wstępują inni, a ogniem łączącym pozostaje pamięć, wspomnienie, owoce życia tych, co ubyli. Lecz i ten ubytek nie na nowy rok wyłącznie przypada, i w tym objawie nie ma przerwy; z nowym rokiem robi się tylko obrachunek... ze zwyczaju, dla porządku...

Należy się tutaj jeszcze wspomnienie kilku ludziom, którzy w ubiegłym roku ubyli.

A najpierw legenda, bajka, niebylica rzecz-wista, jak ją sobie lud styryjski opowiada.

W miasteczku Aussee zjawił się panicz u poczmistrza w noc burzliwą i zażądał koni; pilno mu było na bal, do zamku, do wielkiej pani. Koni nie było i ludzi nie było; nikt nie chciał po ciemku wśród burzy siebie i koni narażać tam zwłaszcza w Alpach. Panicz nalegał, obiecywał dukaty, i wreszcie znalazł się poczytylion, wątył chłopiec, młodzieutki i śliczny, który nie bał się burzy i nocy, znał drogi i koniom ufał, a konie słuchały jego głosu. Zawiózł on panicza i jego towarzyszy—i już go więcej nie opuścił. Odważnym chłopcem była Anna Poehl, córka poczmistrza; paniczem był arcyksiążę Jan. Pojął on w małżeństwo Annę, której dano tytuł hrabiny Meran. Jakich-to trzeba było walk, zanim na to małżeństwo pozwolono, łatwo sobie wyobrazić, ale Anna postanowiła „swojego“ księcia nigdy nie opuścić, a księżę, po latach kilkudziesięciu, w ostatniej godzinie jeszcze jej błogosławił. Hrabina Meran nie pięła się do dworu cesarskiego, tam nawet na małżonkę arcyksięcia długo się krzywiono; lecz po latach topniały lody, stała się ona równie szanowaną na dworze, jak kochaną i wielbioną w swojej własnej rodzinie i przez lud styryjski, wśród którego zawsze mieszkała. A nawet, owdowiawszy, zajęła rodzinny dom i jako dobry duch całej okolicy, jako najzacniejsza matrona w całym państwie doczekała sędziwego wieku. I dwór cesarski i lud oddawał jej z jednaką czcią ostatnią posługę. Więc zdarzają się jeszcze takie wypadki i tacy ludzie; nic dziwnego, że postać tę otoczył lud już za życia legendami, tak, że trudno nawet sprawdzić, czy i jaką rolę w jej życiu odegrała owa nocna jazda z paniczem...

Po Makarcie ubytek Canona i Hoffmanna sprawił wyłom w społeczeństwie wiedeńskim trudno do zastąpienia. Artystyczne znaczenie Canona, którego 280 obrazów właśnie będą wystawione, było już ocenionem w „Bluszczu.“ Człowiek ten miał atoli większe może znaczenie społeczne. Był on do wybitki i wypitki, do wszelkich celów, do wszelkich artystycznych przedsięwzięć i zabaw, inicjował, dowodził i bywał prostym żołnierzem równocześnie; zabawy weneckie, tureckie, „gschuass“¹⁾ itd., bez Canona nie dały się tu pomysleć, a tylko prawdziwe talenta i temperamentu artystycznego, ludzie istotnej pracy i zasługi mogli zdobywać się na takie wytechnienia zarówno sztuką, jak humorem opromienne. Ostatni raz widziałem Canona, profesora, człowieka wyżej pięćdziesiątki, portrecistę najwyższej półki osób, gdy w piwiarni przebrany za pastora prawił kazanie za pomocą abecadła...

Do świata artystycznego należał baron Hoffmann, były minister finansów, a w końcu intendent teatrów. Żył on dla matki swojej, i nigdy mieszkania przez się zajmowanego nie opuścił, a potem dla sztuki. Tylko ze stanowiska sztuki kierował operą i dramatem. Po nim musiały inne poglądy na jakiś czas wziąć górę, a znalazły swój wyraz w tem, że intendentem został człowiek liczby, gubernator zakładu ziemskiego, który oszczędnością ma koniec z końcem wiązać, aż znowu sztuka odzyska przewagę.

Wiedeń w głowę zachodzi: jak to będzie i co to będzie z teatrami, ze sztuką i z karnawalem bez tych trzech ludzi? Zapewne jakoś to będzie, a nawet sztuki piękne, jakby na dane hasło, żeby się ludziom nie dać frasować, przypuściły gwałtowny szturm do umysłów i kieszeni. Kończył się rok stary i rozpoczynał nowy pod hasłem muzyki i malarstwa. Najwięcej wrzawy

podniosło się około obrazów Wereszagina i to wrzawy wcale nie artystycznej, której artysta dla swojej sławy i dla honoru sztuki unikać powinien. Obrazy jego ze wschodu, architektoniczne i widoki są dziełami wielkiego i śmiałego talentu, oraz wyrobionej techniki. Obrazy tendencyjne są tak samo, jak wielkie płótno „Pochód ks. Walii w Indyach“, tylko ilustracyami, w których sztuka schodzi na niewolnicę tendencji. Obrazy zaś jakoby biblijne są profanacją, nie już religii wogóle, ale sztuki. Tendencja libertyńska sprawiła, że właśnie pod artystycznym względem są poprostu nędznymi. Dziwna rzecz: nie poważyliby się żaden malarz publicznie szkanować misteryów wyznania mojeszowego lub mahometańskiego, a na katolickie rzuca się Wereszagin, niepomnąc, że sobie przez to wystawia złe świadectwo, a jako wrażenie, wywołuje tylko hecę. Ranzoni ze stanowiska sztuki potępił go za to bezwarunkowo.

O Constansa „Rzezi w seraju“ pisać nie będę; tytuł dzieła już wszystko mówi. Wagnera „Bismarck w Wersalu“, z Thiersem i Favrem, nie dorasta do obrazu historycznego, ale portrety obu Francuzów są doskonałe. Na Bismarcka gapią się setki; trudno pojąć, że nawet Niemcom jeszcze kością w gardle nie stoi.

Z wydawnictw gwiazdkowych tutejszych jedno zaledwo zasługuje na uwagę: drugi już Lausera rocznik artystyczny *Die Kunst in Oesterreich-Ungarn*. Wartoby, żeby nasi artyści i wydawcy z tem dziełem się zaznajomili, które z pomocą ilustracji pojawiających się w ciągu roku w czasopismach wcale nietrudno byłoby i u nas ułożyć i dzieje sztuki z całego roku w książce utrwalić. Mam tu nowe budowle, rzeźby, obrazy, utwory sztuk reprodukcujących, graficznych, dzieła przemysłu artystycznego, albo sztuki stosowanej, utwory muzyczne, poetyczne, teatralne, z wiadomościami krytycznymi i biograficznymi o artystach. Trzech polskich malarzy w tym roczniku spotykamy (jako poddanych austriackich). Życiorys *Streita* i obraz: „sprawa sercowa“ *Ryb-kowskiego* obraz (chemigraficzny) „Żydowska orkiestra“, wyborny, pełen jędrnej charakterystyki, życiorys *Kozakiewicza* i obraz „opuszczona.“ Dlaczego tylko tych trzech? Dodam tu, że Rybkowski przygotowuje wystawę zbiorową, kilku nastu obrazów i całej seryi szkiców, a na bal polski tegoroczny wykonał w formie wachlarza obraz swój „wesele hucałskie“, na którym kilka naście znanych znakomitości jest między widzami odportretowanych.

Muzyką opanował Wiedeń Rubinstein; siedm trzygodzinnych koncertów, siedm takichsamych dla uczniów konserwatorium. Jest to Tytan, ale trzeba także sił niemało, żeby być w stanie wysłuchać go. Znacze go, to wiecie, że mógłby on publiczność zagrać na śmierć. Patti przyjechała tutaj ze śpiewem łabędzim. Mimo narzekań na złe czasy staczane są walki o bilety kosztujące sumy. Równocześnie ścisk na koncertach Sarasattiego. Czemuż się ludzie tak cisną na wystawy, na koncerty, do teatru? czy tylko dla rozrywki i odpoczynku? Nie zdaję sobie sprawy, a przecież jest to świadectwem, że człowiek, że społeczeństwo nie może poprzestać na życiu powszedniem, że potrzebuje wrażeń świątecznych, że bez nich przestałoby być społeczeństwem ludzkim, wykarmionem dorobkiem wieków, ale cofałoby się na stanowisko rzeszy pierwotnej,—dzi-czałoby.

Z MEDYCYNY 'POPULARNEJ

MIGRENA.

Jedną z najnieprzyjemniejszych dolegliwości trapiących ród ludzki jest ból głowy. Bywa on rozmaitego rodzaju; towarzyszy, szczególnie w samych początkach, prawie wszystkim ważniejszym chorobom, jak: tyfusowi, zapaleniu płuc, zapaleniu mózgu i t. p. i wtedy nie stanowi

oddzielnego cierpienia, lecz jest tylko wynikiem ogólnej choroby.

Pojawia się zawsze przy otruciach gazem węglowym, alkoholem lub nareszcie wskutek nadmiernej pracy umysłowej a także z powodu bezsenności. Oto bóle głowy, których przyczyny są znane dokładnie i które wraz z ustaniem tychże, mijają.

Ból głowy, znany pod nazwiskiem migreny (hemigrania), której tu kilka słów poświęcić zamierzylem, nie zawsze może być określonym, z jakich powstaje przyczyn.

Starożytna medycyna, nie mogąc dla niego znaleźć podstawy anatomicznej, zaciągnęła go pod rubrykę chorób hysterycznych, chociaż bardzo wiele hysteryczek bywa wolnych od tego cierpienia, naodwrot osoby niehysteryczne a nierazkdo mężczyźni, cierpią na migrenę.

Migrena jest zawsze dziedziczną, prawie z matematyczną ścisłością twierdzić można: że jeżeli matka cierpiała na migrenę, to i córka chorować na nią będzie. Niemałą cząstkę przypisać należy także obecnemu wychowaniu, które wymaga przepędzania większej części dnia siedzący, np. szycie i haftowanie, przy których-to czynnościach myśl swobodnie buja po obłokach i exaltuje się, nie mając poważnego zajęcia—czytaniu romansów i wogóle książek zbyt ubudujących u młodych dziewczyn fantazyą.

Migrena jest cierpieniem nerwowem, wszystko co szkodliwie wpływa na nerwy sprowadzić ją może; przyczyn tych jest bardzo wiele, wyłożył je dokładnie w swem dziele „o chorych i zdrowych nerwach“ Kraft-Ebbing, a ważniejsze z nich, mówiąc o przyczynach chorób nerwowych, przytoczyliśmy w N 41 *Bluszczu* z roku zeszłego i powtarzać ich tu nie będziemy.

Co do istoty choroby, to dziś medycyna zapatruje się na migrenę, jako na neuralgia, t. j. uważa ją za ból nerwu trójdzielnego rozgałęziającego się w oponach mózgu. Nadmienić przytem muszę, że sama substancja mózgowa nie boli, mózg bowiem można krajać, nie wyrządzając tem żadnego bólu, jest on pozbawionym nerwów czuciowych, lecz tylko za ich pomocą odbiera wrażenia. Ponieważ zaś nerw trójdzielny rozgałęzia się w oponie mózgowej, ból przeto tak blisko jest mózgu, iż wydaje się, że to w nim właśnie tkwi ból.

Ból powstaje skutkiem zaburzenia w obiegu krwi t. j. albo napływa do chorego nerwu za-dużo, albo też niedostateczna ilość krwi. Nam się wydaje ten drugi powód daleko prawdopodobniejszym, chociażby tylko z tego względu, że migrena bardzo często bywa u osób cierpiących na blednicę, że z ustaniem jej nie rzadko w zupełności ustępuje albo przynajmniej paroxyzmy stają się daleko rzadszemi.

Nie podobna szczegółowo rozbiierać: dla czego cierpią na nią przeważnie kobiety; fakt jest jednakże niezaprzeczony, że u mężczyzn pojawia się prawie wyjątkowo. Często bardzo migrena występuje już w dzieciennych latach i trwa do późnej starości. Osoby, u których nie pojawiła się 24 roku, są od niej wolnemi przez całe życie. Jakkolwiek migrena nie jest ciężką chorobą, trwa zazwyczaj bowiem kilka, rzadko kilkanaście godzin, wyznać należy, że osoby nią dotknięte są bardzo nieszczęśliwymi i zasługują na współczucie. Dzieje się tymczasem najczęściej przeciwnie.

Ponieważ nie grozi niebezpieczeństwem i przechodzi bez środków lekarskich, pozostawia się osoby nią dotknięte bez pomocy. A jednakże nie podlega najmniejszej wątpliwości, że stosownem leczeniem można napad powstrzymać, skrócić go a nawet raz na zawsze usunąć.

Osoby cierpiące na migrenę, już na kilka godzin przed pojawieniem się bólu głowy doznają pewnych niezwykłych symptomatów: rozstrojenia umysłu, ucisku w głowie, dreszczów, szumu w uszach, migania przed oczami—prócz tego bardzo często pojawia się ziewanie, kichanie, mdłości i ból w okolicy żołądkowej. Następnie dołącza się silny ból głowy, najczęściej rozpoczynający się od oka i przechodzi na odpowiednią połowę głowy. Daleko częściej cierpi lewa połowa głowy niżeli prawa; dla czego tak jest, odpowiedzi dać nie umiem. Później dołącza się najnieprzy-

1) Były opisywane w „Bluszczu.“

jemniejszy objaw: wymioty, trwające kilka godzin, przyczem wydalany bywa z żołądka płyn ciemno-zielony nadzwyczaj gorzkiego smaku. Wymioty te, chociaż osłabiają chorą w wysokim stopniu i bywają często bardzo męczącymi, są o tyle pożądanymi, że skracają migrenę i powtórnie już nie tak prędko się ona pojawia.

Oslabienie bywa czasami w wysokim stopniu, puls staje się nadzwyczaj powolnym i małym, chore leżą bezwładnie na łóżku, — ręce i nogi zimne, oczy głęboko zapadłe, źrenice zwężone. Lekarz wezwany w tym okresie, nie łatwo może wziąć powyższe symptomy za choleeryę i znam doświadczonemu lekarza, który w ten sposób się omylił.

Natężenie siły, z jaką występuje migrena, bywa najrozmaitsze: od lekkiego bólu w jednym oku i prawie nic nie znaczących mdłości, do bólu głowy połowicznego, przywodzącego chorych do szaleństwa prawie, i wymiotów, które czasami trwają kilkanaście godzin. Zwykle po migrenie albo też podczas niej następuje sen długotrwały i chore budzą się zupełnie wolne od takowej, pozostaje tylko w mniejszym albo większym stopniu osłabienie na pewien czas, i to powtarza się u jednych co kilka dni, u innych raz na miesiąc.

Cierpienie to nigdy nie kończy się śmiercią, ale jak tu być przy tem zdrową — jeżeli peryodycznie przechodzi się takie tantalowe męczarnie, jeżeli przytem traci się tyle sił?

Nie wiem, dla czego weszło to u nas w zwyczaj prawie, że osoby cierpiące na migrenę, pozostawia się ich, smutnemu losowi, albo co najwyżej, ucieka się, do tak nazwanych domowych środków. A jednak, chociaż — wyznać wypada — medycyna dotąd nie wynalazła środka specyficznego, radykalnie leczącego migrenę; rozumem jednak postępowaniem, udaje się lekarzowi, w niejednym wypadku, znakomitą przynieść ulgę, a nawet, przy wytrwałości, zupełnie złe usunąć. Przy tak nazwanem domowem leczeniu t. j. na osłep, popełnia się często kardynalne błędy, które tylko szkodę przynieść chorym mogą, bo to wcale nie wszystko jedno: czy choremu postawić synopizm za uszy w danej chwili, czy też podać kieliszek koniaku lub trochę kamfory, jeżeli zaaplikujemy pierwszy w czasie bezkrwistości mózgu, a drugi w chwili zbyt silnego dopływu krwi: zamiast pomódz, zaszkodzimy bezwarunkowo.

Jest bardzo wiele lekarstw aptecznych, jak chinina, kofeina i t. p., które przynoszą ulgę, mamy w elektryczności i massażu bardzo potężne czynniki przy migrenie; ale powtarzam raz jeszcze: należy je umiejętnie stosować, gdyż tylko wtedy mogą być użytecznymi. Nawet ów niewinny „Migränestift“, którego głównym składnikiem jest Menthol (mieszanina terpenów i kamfory mięty pieprzowej), a którym tak dziś energicznie wywijają w lewo i prawo, nieumiejętnie użyty, może być szkodliwym.

W leczeniu migreny trzymać się należy pewnego systematu, który znów zależnym jest od symptomatów choroby, systematów może być jedynie przez lekarza wskazanym.

Cierpiąca na migrenę powinna pozostawać w łóżku, spokój ma być zachowany jak najzupełniejszy, opiekę nad chorą rozciągnąć winna osoba najbliższa i najbardziej lubiana, prócz niej nie należy nikomu wchodzić do pokoju. Chore mają zmysły w wysokim stopniu podrażnione, są niezmiernie skutkiem tego wrażliwe na świat zewnętrzny, silniejsze światło je razi i dla tego trzeba pospuszczać rolety, każde silniejsze stuknięcie, głośne chodzenie lub rozmowa sprawia im wielką przykrość, do nadzwyczajnej czułości

podniesionym jest zmysł powonienia i dlatego wypada postarać się o czyste, świeże powietrze; nigdy jednakże zapomocą kadzenia lub perfum, chore nawet wody kolońskiej nie znoszą. Niezmiernie przykrym staje się w czasie migreny nie tylko dym tytoniowy, ale niedopałki cygar i papierosów, pozostawione w bliskości drażnią chore i przyprowadzają o nowe symptomata. Za napój najlepiej podawać zimną wodę, a przy silniejszych torsjach kawałki lodu.

Przekonałem się niejednokrotnie, że w czasie trwania torsyi, żadne środki zniesionemi być nie mogą — i nie trzeba chorych przymuszać do przyjmowania lekarstwa; działać należy przed ich wystąpieniem i po ukończeniu dla wstrzymania nowych napadów.

Już wyżej wspomniałem, że kobiety cierpiące na migrenę zasługują na współczucie i troskliwą opiekę. Cierpienie to, które rozdrażnia w wysokim stopniu, i tak już słaby systemat nerwowy, powinno je w wielu wypadkach wyłomaczyć wiele ich kaprysów i dziwne zachowanie się. Nie każdemu wiadomo ile, prócz fizycznego cierpienia, znieść musi kobieta zawodów i nieprzyjemności, skutkiem migreny, która ją napada w trakcie zabawy, w teatrze, w salonie wtedy kobieta walczy wszystkimi siłami woli, aby niezepsuć wieczoru mężowi, otaczającym i sobie; mimo tych walk jednakże zazwyczaj bywa pokonaną musi opuścić najprzyjemniejsze towarzystwo lub wyjść z przedstawienia, na którym doskonale się bawiła i poddać nieznosnej chorobie.

Znam panie, które urządzają u siebie recepcye i chodzą do teatru tylko wkrótce po przebytej migrenie, gdyż wtedy są w części zabezpieczone.

Sama choroba i ciągły niepokój: „czy czasami dziś nie będę miała migreny?“ rozdrażnia nerwy i czyni kobiety czułymi na najmniejsze przeciwności, których znieść nie potrafią.

Paroxyzmy migreny są zwykle wynikiem cierpienia nerwowego, które nurtuje zdrowie bezustanku, są niejako summa tego cierpienia.

Zczasem ten ciągły niepokój nerwowy czyni

kobiety zgryźliwemi, wszystko je drażni, niepokoi i nudzi. Ilu niesnasek, kłótni, a nawet rozwodów powodem bywa migrena — w całym tomie bym nie spisał.

Uderzającym jest fakt, że na migrenę chorują kobiety z wyższej klasy społecznej, w klasie ubogiej należy ona do wyjątków u kobiet wiejskich prawie nigdy się nie pojawia. Nie podlega zatem wątpliwości, że niezmiernie ważną rolę odgrywa tu sposób życia i zajęcie. Im to życie jest wygodniejsze, swobodniejsze, rozkoszniejsze — tem migrena ma łatwiejszy przystęp, tem jest silniejszą. Kobiety z bogatszej klasy ludności fizycznie wcale nie pracują, a jednak praca taka dla zdrowia jest niezbędną. Siła żywotna w organizmie skutkiem braku pracy gnuśnieje i ułatwia skutkiem tego przystęp rozmaitym cierpieniom a między innymi i migrenie.

Bardziej to jeszcze widocznem jest u mężczyzn.

Mężczyzna pracujący fizycznie nigdy nie choruje na migrenę; spotykamy ją za to dosyć często u takich, którzy pracują umysłowo. Czyż to dowody nie dosyć jasne? nie dosyć bijące w oczy?

Pierwszem zadaniem rodziców winno być wychowanie swych dzieci tak, aby im zapewnić zdrowie. Niech lepiej dziecko nie wyuczy się pisać obcym językiem; niech lepiej nie zna obcych przedmiotów, bez których w życiu obejść się można; ale niech będzie zdrowem, niech będzie zahartowanym na znoszenie przeciwności życia i pracy, jaką ono wymaga.

Dr. Józef Starkman.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 10-ty powieści pod tytułem: **Wydzieńczony**, przez Łukasza Malet'a, przekład z angielskiego.

OD WYDAWCY.

Dla prenumeratorów pisma „Bluszcz” z dodatkiem dzieł J. I. Kraszewskiego (wydanie tanie), rozsyła się tom 61 ogólnego zbioru, zawierający tom I-szy powieści pod tytułem:

MĘCZENNICY

CZĘŚĆ I-sza

NA WYSOKOŚCIACH.

(Powieść ta w wydaniu książkowym wychodzi wychodzi po raz pierwszy).
Po ukończeniu Części I-szej **Męczenników**, wyjdzie powieść pod tytułem:

CZARNA PERŁKA.

Powieści J. I. Kraszewskiego wychodzą tomami, a mianowicie po 5 tomów kwartalnie. Prenumerata wynosi kwartalnie 1 rs. 50 kop., z przesyłką pocztą 1 rs. 75 kop.

Wydawnictwo to rozpoczętem zostało z dniem 1 Stycznia 1883 r. Wyszło dotąd tomów 61.

Wpisz. Ciężkie czasy, przez M. Ilnicką. — Gniew Boży, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Muzyk poezya, przez J. J. — Biała róża, (dalszy ciąg), przez Narcyzę Żmichowską. — Korrespondencya zagraniczna, Wiedeń — Z medycyny popularnej, przez Dra Józefa Starkmana.
Dodatek obejmujący Arkusz 10-ty powieści pod tytułem: **Wydzieńczony**, przez Łukasza Malet'a. — 24 wzorów ubiorów robot wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie — Dyspozycyą stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów. Krakowskie Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цепзурою.

Варшава, 15 Января 1886 года.